

NASZ PRZYJACIEL

DODATEK DO GŁOSU WABRZEŃSKIEGO.

Nr. 31.

Wabrzeźno, sobota 2 sierpnia 1925.

Rok 2.

Ewangelja

św. Łukasza rozdz. 17. wiersz 41—47.

W ow czas, gdy się przybliżał Jezus do Jeruzalem ujrzawszy miasto, płakał nad nim, mówiąc: Iż gdybyś i ty poznało i w ten dzień twój, co jest ku pakowi twemu, a teraz zakryto od oczu twoich? Albowiem przyjdą na cię dni i obtoczą cię nieprzyjaciele twoi wałem i oblegą cię i ścisną cię zewsząd i na ziemię cię obalą i syny twoje, którzy w tobie są, a nie zostawią w tobie kamienia na kamieniu; dla tego, żeś nie poznało czasu nawidzenia twego. A wszedłszy do kościoła, począł wyganiać sprzedające w nim i kupujące, mówiąc im: Napisano, iż dom Mój, dom modlitwy jest. A wyście go uczynili jaskinią zbójców. I nauczał codziennie w kościele.

Nauka z ewangelji.

Dlaczego Zbawiciel płakał nad Jeruzolimą?

Plakał 1. z powodu niewdzięczności, zaślepienia i zatwardziałości jej mieszkańców, gdyż nie chcieli Go przyjąć jako Zbawcy; 2) plakał z powodu nadchodzącego jej upadku i 3. plakał, wiedząc, że wszystkie Jego starania i cierpienia dla nich ponoszone będą nadaremnie i bezskutecznymi.

Któryż to był czas nawidzenia.

Był to czas, w którym Bóg posyłał do żydów jednego po drugim proroka i wzywał ich do pokuty, a oni ich wyszydźli, ukamieniowali i pozabijali. (Mat. 23, 37). Głównie był to czas Chrystusowego urzędu kapłańskiego, podczas którego sam Pan Jezus tak często głosił naukę Swą zbawczą w kościele Jeruzolimskim, stwierdzał ją cudami i przez to skazał, że jest Mesyaszem i Zbawicielem świata, ale to zatwardziało i do pokuty niesklonne miasto wzgardziło Nim i zapomnienia odrzuciło.

Kogo przedstawia ta zatwardziała i do pokuty niesklonna Jeruzolima?

Przedstawia nam zatwardziałych i do pokuty niesklonnych grzeszników, którzy tak samo, jak mieszkańcy tego miasta, nie słuchają głosu Bożego i odkładają nawrócenie swe na koniec życia, nie uznają tego nawidzenia w tym czasie, w którym grzeszników tych napomina Bóg przez kapłanów, spowiedników i przez we-

wnętrzne natchnienia, iżby troszczyli się o zbawienie swej duszy. Stanie się też z nimi to, co się stało z mieszkańcami tego bezbożnego miasta; nieprzyjaciele, t. j. złe duchy otoczą ich duszę, będą ich niepokoi i wciągali do ochładni zguby. — Jakże więc nieroztropnie postępujemy sobie, jeżeli lekkomyślnie trwonimy czas łaski, dni zbawienia! O jakżeby pokutowali potępieni, gdyby jeszcze raz mogli wrócić na ziemię! o jak gorliwie korzystaliby z czasu, a żeby zbawić duszę swą! A więc korzystaj, chrześcijanie, z czasu łaski, który ci Bóg nakreślił i którego ci kiedy minie i bezmyślnie roztrwaniiony zostanie, ani o minutę nie przedłuży.

Czy Bóg zakrywa przed bezbożnymi, to co nam do zbawienia potrzeba?

Nie zakrywa, ale bezbożni, ubiegając się za rozkoszami życia, nie dostrzegają tych nieszczęść, które już idą za nimi, a ponieważ rozważanie przyszłości wśród rozkosznego świata, za którymi się upędzają, niepokoi ich przeto o dalają od siebie ten przerażający obraz i pędzą na oślep wśród tych rozkoszy tego świata i zabaw wprost w ogień wieczny. Nie Bóg więc, tylko oni zamykają oczy przed poznaniem tego, co pokój przynosi i idą na zgubę.

Ptaki w podaniach ludu.

Podania i związane z nimi wierzenia ludu to skarb, który długo, długo był zamknięty. Tylko lirnicy, geślarze pochwytywali wprost z ust ludu owe skarby, a silni popędem natury, wyrabiali poezję ludową, Wielkich mieliśmy poetów w przeszłości. Zewnętrzna szata poezji była wprawdzie polska, duchowo jednak obca — grecka lub rzymska.

Pierwszy rozkazał Niemcewicz, gdzie szukać natchnienia. Kazimierz Brodziński, Adam Mickiewicz, Bochdan Zalewski uczynili wielki krok naprzód, zstąpili do podania i pieśni ludu. Inni pisarze poszli za nimi i dziś mamy literaturę taką, jaką być powinna — narodową.

Wierzenie w pewien wpływ zwierząt na losy człowieka, albo dar przepowiadania szczęścia, lub nieszczęścia, sięga czasów pogańskich kiedy wierzono jeszcze, że bóstwów przemienia-li ludzi za karę w zwierzęta, które musiały spełniać pewne przeznaczenie.

CZARNY RYCERZ

Opowiadanie historyczne z XI wieku

31)

przez

WALEREGO PRZYBOROWSKIEGO

Tak mówiąc, znikła na schodach, a pani Małgorzata stanęła przy otworze w okiennicy i bacznie śledziła, co nieprzyjaciół robi. Taran gorzał wielkim płomieniem i z tej strony, choćby nawet niewolnicy zdołali ogień ugasić niebezpieczeństwa nie było żadnego. Straszne narzędzie na nie było przydatne. Sami zresztą niewolnicy widocznie zniechęceni byli niepowodzeniem. Cofnęli się zdala od wieży i w gromadkach pojedynczych przypatrywali się gorejącemu taranowi. Nowe więc było zwyczajstwo niewiast zupełnie i w najgorszym razie na tę noc przynajmniej zapewniało im spokój i bezpieczeństwo.

— Świętochna uważaj! rzekła Małgorzata, odchodząc od okienka i patrząc na izbę. Miłoslawa dmuchała, rozpalając ogień w piecu. Bogna nawet wstała i zdawała się być wesola i pewna sobie. Właśnie w tej chwili Jędza się znów pojawiła, niosąc sześć dużych i tłustych przepiórek, które rzuciła na posadzkę mówiąc:

— Skubcie je... wieczera będzie dobra.

A widząc idącą ku sobie Małgorzatę, bo ogień rozdmuchany przez Miłoslawę w kominie, rzucił już nagle blaski na izbę i zawołała:

— Widziałam ja wasze spiżarnię, wasze zapasy żywności dziedziczko, ale to tego starczy ledwie na trzy tygodnie, to skąpo. Zbóje teraz wieży napadać nie będą, ale was tak ścisną, że zgłodu pomrzecie, jeżeli wam kto pomocy nie przyniesie... ho! ho w prawdzie jest trochę szczurów i myszy ale...

— Jędzo! ozwał się nagle ksiądz Wszerad, wchodząc do izby i kładąc rękę na ramieniu kobiety — powiedz mi teraz, jakim sposobem się tu dostałaś?

Jakim ha! ha! ha! — siadłam na łopate od mego kuma Rokity westchnęłam i oto jestem. Ha! ha! ha!

— W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego! pocałuj się ksiądz zęgnąć.

Noj no! księżu dobrodzieju, rzeknie Jędza — nie tak to źle jest ze mną. Żali nie wiecie, że tu jest podziemny loch wieży wejście z bugaju w puszczy niedaleko mej chałupiny?

Wiem, że jest... alem go odszukać nie mógł. Więc, żeś tamtędy przyszła?

A tam tędy. Strach to tam iść, bo to ciemno, szczurów mnóstwo z lisem się też bić musiałam, co tam sobie norę wykopała w wielu miejscach ziemia się sypie... no, ale przeszłam zdrowa i cała.

To i dobrze! zawołała Małgorzata — możemy stąd w razie niebezpieczeństwa uciekać?

— A dokąd? zapytała Jędza — żali tu nie jesteście najbezpieczniejsze? Po puszczy mnóstwo niewolników się wlece i zabija ludzi. Siedźcie tu dziedziczko, kiedy wam dobrze. O żywność wam szło, no, to teraz ja wam będę zносиła jedzenie. Przyniosłam przepiórki, przyniosę jutro całego jelenia, Miłoslawa ze mną pójdzie i przyciągniemy go. Ho! ho! teraz wam

tu będzie jak w raju. Ale ja wam chce coś ważnego rzec, jeno sobie usiądę, bom się zmęczyła. Siadła, poprawiła chustkę na siwej głowie i mówić poczęła.

XVII.

Narada.

Jędza siedziała na skrzyni obok pieca, z którego od gorejącego ogniska padały czerwone blaski; włóczyły się po czarnych ścianach izby i oświecały postać kobiety jej głowę z włosiem siwym, rozczochranym, jej nos długi i zakrzywiony. Światło ognia nie mogła rozjaśnić zupełnie, ciemność i wielkie ponure cienie tłukły się po kątach. Z zewnątrz dochodził stłumiony, gwar niewolników.

Tak! tak! mówiła Jędza, tu wam dziedziczko najlepiej będzie i najbezpieczniej. Już oni teraz na wieżę napadać nie będą, tylko głodem was będą chcieli wziąć. Ano cóż macie tu żywności na jeden miesiąc — może na dłużej — jutro też z Miłoslawą przyniesiemy jelenia. Zwierz jest stary i duży i starczy na parę dni. Trzeba będzie loch podziemny oczyścić, żeby przejście ułatwić i ja wam tamtędy znosić będę co tylko można.

Zatrzymała się, poprawiła chustkę na głowie, wyciągnęła chudą rękę, podobną do szponów krogulca i mówiła dalej: i

— Ale na długo to starczy? Teraz jest jesień, w polach stoją sterty zboża, przepiórki, kuropatwy, gołębie tłuste latają po boru; zwierza też jest dosyć, a ja z łuku nigdy nie chybię, jak trzeba, to i z oszczepem pójde na dzika lub niedźwiedzia. Po sadach jablonie i grusze uginają się pod owocem, a u mnie przy chałupie ulęxałek taka moc, że gałęzie się łamią. Wszystko to będzie dla was, wszystko to zniosę tutaj byście miały co jeść dziedziczko. Na błoniu waszem nad Szreniawą pasą się trzody, choć je zbóje mocno przetrzebili, ale tłustych baranów i pięknych wołów jest jeszcze dosyć. Albo to miodu mało w barciach? Ho! ho! kąpać się w nim można... Urodzaj był wielki, lato ciepłe i jesień dla nas jest piękna i obfita...

Znów się zatrzymała i poprawiając dREW w piecu, rzekła:

— Jesień! ba, dopóki jesień jest, słonko, świeci, stary dąb szumi zielonym liściem, to dobrze. Ale, gdy przyjdzie zima, śniegi spadną, mrozy chwyca, sterty z pól kmiecie i oracze do stodół ściągają, gdy tłuste przepiórki się pochowają, zwierz zagrzebie się w puszczy, a tylko wiley po niejchodźcie poczyna, to co będzie? Czemu ja was wtedy rozbekibiedne nakarmię i ogrzeję?

Podniosła głowę i przenikliwymi, małemi oczkami poczęła się wpatrywać w twarze słuchających ją kobiet, jakby chciała się przekonać, jakie wrażenie jej słowa na nie wywierają. Podniosła w górę rękę i żałośliwym głosem wołać poczęła:

— Zima, o! straszna to pani dla tych co nie mają modrzewiowych dworów, murowanych grodów, stodół pełnych ziarna, spiżarni pełnych krup, kaszy i polciów słoniny! Ja sama wtedy dobrze nieraz głodu przymrę, choć siebie jedną mam tylko wyżywić i moje też dzieciaczka: kruk czarnego, kura lśniącego, kota mrużającego, przylepeczkę puchacza i węża świętego! Nieraz to po boru chodzę i rosół sobie gotuję z wątro-

by wisielca, z mózdzka zagłodzonej dziecińcy, z piszczeli topielca... Ha! ha! ha! smaczny rosół, smaczny rosół! Upiory z kołami, które im serce przebiły, włóczą się po boru, zmory krew wysysają i siwobrody mróz śmiertelne senziele rozsiewa... Czemże ja was wtedy wyżywię, robacki moje, zlotko moje, żreniczki moje!..

Usiadła na skrzyni, okryła twarz chustą, pochyliła się i kiwając nucić poczęła ci-ho jakąś smutną piosnkę o dziecińcy, której matka nakarmić czem nie miała. A ogień w piecu pryskał i strzelał, świerszcz świerkał głośno, cisza wielka drzemała i niby szmer pszczoł w ulu ze dworu dobiegał głuchy szum ludzkich głosów. Na czarnych ścianach izby drgały niby żywe chwiejne, migotliwe blaski ognia, były się z cieniami i nikiły w posępnych kątach w mroku nocnym. Przez otwór w okiennicy zaglądała maleńka gwiazdka mlecząca, poważna, zadumana.

Słowa Jędzy zrobiły na słuchaczach silne wrażenie. Każda czuła ich okropną, przerażającą prawdę. Przez chwilę nikt się nie odezwał, aż pani Małgorzata rzekła:

— Ha! cóż czynić? radzić sobie jakos' będziemy.

Teraz kiedy w polu i boru jest dość żywno-

ści, trzeba zapasy z niej robić na zimę...

— Tak, na zimę! — poczęła znowu Jędza — ja, Miłoslawa, Świętochna i wy dziedziczko i wy Bogno i ty księżo Wszeradzie, co dzień wyprawy czynić będziemy do boru po żywność. Zbierzemy jej dużo, o! dużo... Nabijemy bawołów, jeleni zając, dzików, ptastwa niewinnego.. jedno soli nie mamy... Ale ja pójdę po sól pod Kraków... pójdę i przyniosę. Ja się niewolników nie boję, co mi zrobią? Stara jestem jak świat, smoka na Wawelu pamiętam i z królem Cwiczkiem w tany chodziłam, gdym była młoda i szwarna... Ot i zima minie i przyjdzie wiosna. Zawieją ciepłe wiatry od morza, słonko wszędzie wesole, bociany resztę śniegu ze skrzydeł strzasa, jaskółki z rzek niby wieńce żywe w górę wyfruną, po boru deszcz narodzin nowych zawieje i nastanie przednówek. O! wtedy cóż jeść będziecie robaczki moje? czem ja was wykarmie? Młodą korą brzeziny, korzonkami paproci... głód! głód! i śmierć...

— Przecie do wiosny rycerze wrócą i nas oswobodzą! zawołała Małgorzata.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

wyprawę futbolistów, czy też bokserów kolonialnych, którzy podążając do Anglii, padli ofiarą katastrofy okrętowej w okolicach półwyspu Galipoli. Możliwość innych w świecie współczesnej cywilizacji katastrof, któreby mogły zaprowadzić Australijczyków na śmierć aż pod Dardanele, nawet nie nasunęła się umysłowi Anglika, żyjącego od lat dziesięciu w kompletnej separacji od ludzkiego świata. Obecnie dodaje sir Wington Churchill—przyjaciel mój już skorygował awoje błędy opinii o świecie dni dzisiejszych.

Odbudowa języka umarłych.

W Paryżu wydano gramatykę języka sogdyjskiego, odkrytego dopiero w bieżącym stuleciu, którym mówiono przed kilku tysiącami lat na drogach karawanowych Azji, od morza Kaspijskiego do morza Żółtego, głównie zaś w kraju Sogdania (wzgl. Sogdiana, w owym czasie satrapia państwa perskiego ze stolicą Markenda dzisiaj Samarkanda).

Przed dwudziestu laty przedsięwzięto szereg wykopaliisk we wschodnim Turkiestanie; znaleziono przytem wyryte na kamieniach napisy, które okazały się zabytkami języka umarłych — sogdyjskiego.

Głównie Francuzi poddali język tem dokładnym badaniom, a w r. 1914 — przed wybuchem wojny światowej, przebywał w pobliżu gór Himalaja, młody francuski filolog Robert Ganthiol, aby skompletować wyniki dotychczasowych badań. Wtem wybuchła wojna i Ganthiol musiał się zgłosić do wojska. Podczas drogi powrotnej konferował o wynikach swoich badań ze znanym angielskim orientalistą, Sir Edwardem Devison Rossem w Londynie. Po zgłoszeniu się do szeregów, poszedł natychmiast na front i padł po trzech dniach.

Po wojnie inni filolodzy kontynuowali rozpoczęte przez Ganthiola badania. Część materiałów, zebrana przez Ganthiola, przechowywana była w uniwersytecie w Lauvain, który jak wiadomo, został przez Niemców spalony, wskutek czego i materiały uległy

zniszczeniu. Mimo to jednak udało się obecnie zrekonstruować gramatykę sogdyjską rozpoczętą przez Ganthiola.

Sir Devison Ross ogłosił artykuł, w którym wypowiada swą radość z powodu dokonania tak ważnego dzieła, mimo, że pierwotny twórca jego nie żyje już. Stwierdza to równocześnie, że te wykopaliiska są o wiele ważniejsze, dla nauki i kultury, aniżeli zareklamowane odkrycia grobu faraona Tutankhamena. Z zasypanych piaskiem pomników starożytnej Azji zmartwychwstaje nieznana Azji przeszłość ze swoją literaturą i architekturą.

Assyrys, Chaldea, Egipt i Palestyna to znane już wielkości. Stwierdzić co istniało przed nimi względnie równocześnie w centrum dawnej Azji, powoli obecnie zrekonstruowany język, którego właściwości ligwistyczne — według opinii Sir Róssa — pozwalają sądzić o wysokim stopniu rozwoju narodu, który go używał.

Nowoczesne gruchnięcie naręczonych.



On: — Dość mi pan będzie dawał na pożyczki i kapełuszki?

On: — To będzie zależało od tego, ile pani ojciec przytulił mi morgów.